W sieci pragnień

SONYA COBB

ALBATROS

Rozdział pierwszy

2005 rok

Jak większość filadelfijczyków Sophie zaopatrywała się w żywność w markecie Superfresh, a jeśli znalazła się w drugiej części miasta, to w ACME. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by jechać na farmę i samej sobie nazrywać czegoś do koszyka. Ale teraz miała córkę i syna, a samodzielne zbieranie owoców to podobno nieodzowna część szczęśliwego dzieciństwa – jak bieganie po cukierki w Halloween czy szukanie prezentów od zajączka na Wielkanoc. W sierpniu jeździ się na brzoskwinie do sadów, w październiku zbiera się dynie. Trzeba pokazać dzieciom, na czym polega rolnictwo, i zrobić setki zdjęć dla dziadków, a jeśli już ich nie ma, to dla innych mam, których dzieci chodzą z naszymi na zajęcia „Muzyczka dla mnie".

Teraz był sezon na truskawki i wszystkie mamy zabierały swoje pociechy za miasto, na pola rozrzucone pośród wzgórz hrabstwa Chester.

– Przyjemny zwyczaj – powiedziała Sophie do Briana – dzień na wsi. Też powinniśmy się wybrać. To obowiązek rodziców.

Brian był jednak sceptyczny. Przekonywał, że jeśli w Filadelfii wszystkie mamy z dziećmi mają podobne plany, to raczej nie można się tam spodziewać spokojnego dnia na łonie natury.

– Będzie ścisk jak na festynie – stwierdził.

Ale Sophie zrobiła minkę, w której malowało się rozczarowanie pomieszane z prośbą i nadzieją, i Brian jak zwykle się poddał. Choć oznaczało to, że przepadnie mu jego sobotni rajd rowerowy. Sophie jednak i to wzięła pod uwagę. Farma leżała zaledwie trzy kilometry od trasy, którą miał jechać jego zespół. Jeśli tylko Brian wszystko dobrze rozplanuje w czasie, to zdąży pozbierać trochę truskawek z nią i dziećmi, a potem wskoczy na rower i dogoni kolegów, żeby przebyć z nimi drugą połowę trasy.

Tego ranka Brian miał mnóstwo okazji, by powiedzieć „a nie mówiłem". Poczynając od chwili, kiedy znaleźli się na ogromnym, ciasno zastawionym autami terenowymi parkingu, gdzie zamiast stadka kaczek czy choćby jakiegoś wiejskiego kota powitała ich ogromna kołysząca się na wietrze truskawa i facet z walkie-talkie. Brian mógł to również powtórzyć, kiedy włączyli się w tłum, który szturmował kasy biletowe, przedzierając się przez gąszcz głośników. I pewnie miał to na końcu języka, gdy kupował bilety normalne dla siebie, żony, dwuipółletniej Lucy i liczącego zaledwie siedem miesięcy Elliota. Ale się powstrzymał.

Zgodnie ze wskazówkami ruszyli do miejsca, gdzie wsiadało się na wozy, a Sophie pocieszała się, że Lucy jest jeszcze za malutka, żeby coś zapamiętać. Nie utrwali się w niej przeświadczenie, że farmy to ludowa wersja wesołego miasteczka. Odwiedzą jeszcze wiele innych farm… mają dużo czasu, żeby to naprosto-

wać. Objęła Briana, wdzięczna mu, że przyjmuje wszystko tak spokojnie i z humorem. Miała nadzieję, że nie odjedzie, nim zadzwoni do nich Steve, agent nieruchomości.

Była niemal pewna, że ich oferta kupna domu na ulicy Hickory 2224 zostanie odrzucona, i nie chciała zostać z tą przygnębiającą wiadomością sama. Wiedziała, że Brianowi kamień spadnie z serca. A nawet go to ucieszy. Nie uśmiechała mu się myśl, że wpakują wszystkie oszczędności w stupięćdziesięcioletnią ruinę. Ale mogła przynajmniej liczyć, że on ją na pocieszenie przytuli, a tego bardzo będzie jej trzeba.

Na wozie amatorzy truskawek usiedli na szorstkich belach siana, w rzędach naprzeciw siebie, jak pasażerowie metra. Jednak tutaj patrzyli sobie prosto w oczy, podekscytowani przygodą, niecierpliwie czekając, kiedy będą mogli wziąć się do dzieła, i żartowali trochę z korków na drodze. Jakaś babcia, siedząca po drugiej stronie, spojrzała na Lucy, a potem na Sophie.

– Jaka podobna do pani! – zauważyła.

– Dziękuję! – odrzekła Sophie jak zwykle, choć wiedziała, że to nie jest najlepsza odpowiedź.

Z kolei „wiem" zabrzmiałoby niemiło, a „naprawdę?" – nieszczerze. Sądziła, że córka rzeczywiście musi być do niej podobna, bo słyszała takie uwagi, od kiedy mała się urodziła. Mimo to często zdarzało się jej patrzeć w szeroko rozstawione piwne oczy Lucy i myśleć: „Czy taka jestem?". Zastanawiała się też, kiedy Lucy po raz pierwszy zada sobie ze zdumieniem, a może i nagłą paniką pytanie: „Czy ja staję się taka jak ona?".

Traktor ruszył. Wozem szarpnęło, wszyscy się zakołysali i ze śmiechem złapali jeden drugiego. Jechali za innym wozem, też peł-

nym ludzi, porytą koleinami drogą w kierunku pola truskawek.

– Szybciej! – krzyknęła Lucy, kopiąc nóżkami w belę słomy.

Sophie obejrzała się na rząd, w którym siedział Brian z Elliotem przypasanym do piersi niczym słabiej rozwinięty brat syjamski. Synek był pulchniutki, jak to dzidziuś, a Brian szczupły i dobrze umięśniony, ale głowy mieli identyczne, takie same płowe włosy i spokojne, wyrozumiałe spojrzenie jasnych oczu. Brian zauważył, że Sophie na nich patrzy. Zabawnie uniósł brwi. Uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi, a potem się odwróciła, by obserwować, jak powoli zbliżają się do truskawkowych pól.

W oddali widziała rząd domów na lekkim wzniesieniu przy skraju farmy. Były duże i jednakowe, ze szpiczastymi dachami. Okna miały przeróżne, a największe, zwieńczone łukiem, było wysokie na dwie kondygnacje. Domy tłoczyły się nad polem, jakby szeptały między sobą, że marnuje się tu tyle miejsca. Tego ranka właśnie, w drodze z Filadelfii, Brian wspomniał, że chciałby rozszerzyć teren ich poszukiwań na podmiejskie okolice. „Nie takie jak tutaj oczywiście, ale może pomyślelibyśmy o jakimś starym miasteczku. Moglibyśmy pozwolić sobie na dużo większy metraż w Mt. Airy albo Germantown. I nawet ogródek". Sophie nic nie odpowiedziała. Dla niej ich ogródkiem było filadelfijskie zoo. I park azalii, gdzie Elliot mógł raczkować po gęstej, strzyżonej trawie. I centrum ogrodnicze, z pięknie położonym japońskim pawilonem herbacianym, gdzie zdejmowali buty, wkładali białe klapki i klaskali w dłonie, by przywołać karpie, podpływające leniwie do brzegu stawu po swoje smakołyki. Własny ogródek kojarzył się Sophie z pretekstem, by nie ruszać się z domu.

Wóz się zatrzymał. Podstawiono schodki. Pasażerowie wysiadali i brali puste koszyki od spieczonego na słońcu nastolatka,

który najwyraźniej zaczynał swoją wakacyjną pracę. Truskawkowe krzaczki rosły rzędami. Ziemia między nimi była posypana sianem. Po drugiej stronie polnej drogi, niżej, szeregi młodych świerczków i jodeł czekały na grudzień, kiedy przybędą po nie tłumy ich radosnych katów uzbrojonych w piły o czerwonych rączkach.

Lucy wyrwała się Sophie, pognała naprzód i zanurzyła ręce w jeden z krzaków. Wyciągnęła duży czerwony owoc i pytająco popatrzyła na mamę.

– Poszalej sobie – powiedziała Sophie, a zachwyt na buzi córeczki aż nadto wynagrodził jej trudy podróży, głośniki i ścisk na wozie.

Brian odpiął nosidełko i posadził Elliota na ziemi, gdzie mały od razu zaczął zbierać w garstki siano i pakować sobie do buzi. Ojciec wyrwał mu je z piąstek i próbował nakierować synka na ciężki od owoców krzaczek, ale Elliot był zafascynowany tym żółtym lekkim czymś, czego było tak dużo, a co dawało się łatwo zbierać i chrzęściło w palcach.

– Może daj mu, niech sobie spróbuje – rzuciła Sophie.

Jak wiedziała, najlepszym sposobem, by zniechęcić Elliota do robienia czegoś, było pozwolić mu samemu dojść do właściwych wniosków. Ale Brian zrobił groźną minę, podniósł Elliota i odsuwając mu rączki od buzi, zmusił go, żeby wypuścił siano. Chłopczyk napiął się, twarz mu poczerwieniała, już szykował się do wrzasku. Sophie postawiła swój koszyk obok Lucy i sięgnęła po Elliota.

– Dam sobie radę – powiedział Brian.

– Już dobrze. – Sophie wzięła Elliota na ręce i kołysała go, szepcząc mu coś czule do ucha, szukając rytmu i tonu, który

go uspokoi.

Brian znów spojrzał na zegarek. Stojąc tak między rzędami krzaków truskawek, w swoim czerwono-czarnym obcisłym stroju kolarskim ze spandexu, wyglądał jak jakiś futurystyczny strach na wróble. Sophie poczuła wyrzuty sumienia, że tak szybko się wtrąciła. Zrobiła to i wcześniej tego ranka – wyrywając Brianowi pieluszkę, bo za wolno mu szło jej zmienianie. Wiedziała, że to zły zwyczaj. Nie w porządku wobec Briana. Z drugiej strony czasami zastanawiała się, czy on trochę nie gra takiego nieporadnego, żeby go wyręczać.

– Świetna pogoda na jazdę – powiedziała teraz, szukając ugodowego tematu.

Naprawdę chciała, żeby Brian nacieszył się popołudniem z dala od niej. Przecież wybrał się z nią tutaj, chociaż to jej marzył się dzień na wsi, a nie jemu. Ale taki był Brian – zgodził się na bladożółte obicia, choć mieli dwoje dzieci w pieluszkach, i pozwolił jej kupić ponaddwuipółmetrową choinkę, choć ich mieszkanie miało tylko dwa i pół metra wysokości. Był dla niej aż za dobry, wiedziała o tym. Chciał tylko, żeby czuła się szczęśliwa, a ona, mimo że czasem błądziła, starała się to osiągnąć.

– Będę w domu na czas, żeby przygotować kolację – obiecał Brian. Zerwał z krzaka truskawkę, otarł o trykot i podał jej do ust. – Grillowane krewetki z sosem?

Sophie wgryzła się powoli w czerwony miąższ, a Brian, unosząc znacząco brew, zjadł drugą połowę. Zaśmiała się z wdzięcznością. Codziennie z utęsknieniem czekała na czas kolacji. Brian krzątał się przy kuchni, a ona dotrzymywała mu towarzystwa, Elliot bawił się w kojcu, na blacie stała butelka wina. Sophie nie umiała gotować – nie znosiła tego całego rozgardiaszu – więc

w kuchni rządził niepodzielnie Brian. Kiedy się nie wtrącała, potrafił wyczarowywać skomplikowane, pełne głębi dania. Były jak okno jego duszy – albo, jak lubiła myśleć Sophie, odbicie jego uczuć do żony.

– Jak sądzisz, dlaczego Steve nie dzwoni? – spytała, licząc, że może Brian podobnie jak ona czuje tę mieszaninę nadziei i lęku, która nie dawała jej spokoju od rana.

– Nie wiem. Jeszcze nie minęła doba. Cokolwiek ma do powiedzenia, wreszcie będzie musiał zadzwonić.

Sophie wsłuchiwała się w jego głos, żeby poznać, czy się choć trochę denerwuje, ale jak zwykle na próżno.

– Może my powinniśmy do niego zadzwonić? Myślę, że trzeba.

– Na pewno jeszcze nic nie wie, inaczej by się do nas odezwał.

– Czy nie warto było zaproponować trochę lepszej ceny? Co będzie, jak ktoś da więcej?

– Uważam, że nie stać nas nawet na to, co zaproponowaliśmy – stwierdził Brian, poprawiając spodenki kolarskie. – Licząc remont, wyjdzie strasznie drogo. To szaleństwo.

– Znajdę sposób, żeby się udało. Nie ma się czym martwić. Dostałam już dwa zlecenia na lato.

Sophie posadziła Elliota między dwoma krzaczkami truskawek i przeszła do następnego rzędu, żeby sprawdzić, co z Lucy, która wpychała sobie do buzi owoce tak szybko, jak tylko zdołała je zrywać. Czerwony sok poplamił jej koszulkę, ściekał po brodzie, zabarwił ząbki. Nawet włosy wydawały się od niego lepkie.

– Lucy, mieliśmy zabrać sobie trochę tych truskawek do domu. Popatrz, masz tu koszyk, wkładaj je do niego. Myślę, że

nie powinnaś jeść tylu naraz. Ile zjadłaś?

Lucy podniosła obie dłonie.

– Dużo?

Sophie pomogła córce zapełnić koszyk, oddzielając dojrzałe owoce od zielonobiałych i marnych, dyndających z szypułek jak pochylone w ukłonie główki. Czuła na szyi słońce, ale o tej porze roku ciepło było jeszcze suche i przyjemne.

Znowu, tak jak w ostatnich kilku dniach, wróciła myślami do tego domu. Próbowała przypomnieć sobie rozkład pokoi w dwupiętrowej ceglanej konstrukcji, gzymsy przy kominku, wysokie sklepienia sufitów, ciężkie, zdobione ornamentami drzwi. Była to ostra architektoniczna riposta na mieszkania i wynajmowane domy, w których dorastała, z ich byle jakimi, pustymi w środku drzwiami, podwieszanymi sufitami i wannami z akrylu, które wyginały się i wydawały głuche dźwięki, kiedy się do nich wchodziło. Ten dom został zbudowany tak, żeby przetrwać. W takim miejscu można osiąść na zawsze.

Kiedy w myślach przechadzała się po nim, zdzierała odpadające tapety i zmechacone wykładziny, odkrywając tynki i drewniane podłogi. Zdrapywała farbę z drewna, porcelany i metalu. Zawieszała fantazyjny żyrandol w pokoju Lucy i ustawiała półki na pudełka z zabawkami Elliota. Odnawiała swoje dzieciństwo i oferowała je, odmalowane i obramowane świeżą bielą, swoim dzieciom.

– Masz, Soph. – Brian podał jej nosidełko. – Zabiorę się z powrotem tym wozem, żeby zmienić buty i się przygotować. Zadzwoń, gdyby odezwał się Steve, dobrze? – Sięgnął za siebie i poklepał tylną kieszeń spodenek, w której odznaczał się telefon. Sophie skinęła głową, przyciskając dłoń do brzucha. Widząc to,

Brian podszedł i przytulił ją. – Będzie dobrze. – Uśmiechnął się, ni to przepraszająco, ni to dodając jej otuchy, i przesunął kciukiem po jej policzku. – Nie martw się. Miłej zabawy. Jeśli tylko zechcesz, żebym wrócił, dzwoń. Przyjadę od razu.

– Nie będzie takiej potrzeby. – Sophie dziarsko potarła jego ramię. – Przyjemnej jazdy. Dam ci znać, co powie Steve.

Pomachała do niego, kiedy odjeżdżał na wozie. Żałowała, że nie wsiadła razem z nim, ale było za późno. Teraz uświadomiła sobie, że bez niego cała ta wyprawa to już nie to. Czysta głupota. Lucy uwielbiała truskawki, zgoda, ale mogła jeść je w domu, a Elliotowi było wszystko jedno, czy jest na wsi, czy na placu zabaw za rogiem.

Wyciągnęła telefon i sprawdziła, czy nie ma nieodebranych połączeń. Nie. Wrzuciła telefon z powrotem do torby z pieluchami. Elliot przewędrował do następnego rzędu i pruł prosto do choinek. Sophie wsunęła rękę pomiędzy jego kolana i ustawiła go twarzą do truskawek. Dalej raczkował jak nakręcony. Krążyła za nim, wokół Lucy, korygując w razie potrzeby jego kierunek. Po jakimś czasie poczuła, że w jej piersiach robi się zbyt pełno, co pewnie oznaczało, że w brzuszku Elliota jest zbyt pusto. Podniosła go, włożyła mu nogi w otwory nosidełka i przypięła je sobie do obolałych już piersi.

– Chodź, Lucy – powiedziała, przykucając i dorzucając jeszcze trochę truskawek do koszyka. – Następnym wozem wracamy.

Lucy skinęła głową, nagle tracąc całą energię. Miała taką minę, jakby usiłowała zrozumieć, co się z nią dzieje.

– Dobrze się czujesz? – spytała Sophie.

Lucy znów skinęła głową.

Kiedy wrócili w okolice parkingu, Sophie dostrzegła mały

ogrodzony plac zabaw, gdzie były dwie wolne ławki w cieniu pod dębami. Przy wejściu przybito gwoździami skrzynkę z napisem: „Wstęp: 5 dolarów". Sophie prychnęła oburzona i wetknęła pięciodolarowy banknot w szczelinę. Zadzwoni do Steve'a podczas karmienia Elliota.

Lucy ruszyła spokojnie do drabinek, a Sophie zdjęła z siebie nosidełko, rozpięła bluzkę i biustonosz. Elliot sapał i pochrząkiwał, trząsł się z głodu. Kiedy zaczął ssać, wyciągnęła z torby telefon i sprawdziła, czy ktoś dzwonił. Nie.

Od strony drabinek dobiegł ją krzyk.

– Mamo!

– Co tam?! – zawołała Sophie, zerkając na Lucy, która stała sztywno koło błyszczącej metalowej zjeżdżalni, z wyprostowanymi przed sobą rączkami, na szeroko rozstawionych nogach. – Chodź tu, co się stało?

Ale Lucy płakała i nie miało to nic wspólnego z kaprysami zmęczonego dziecka czy domaganiem się uwagi. Zanosiła się płaczem, wyraźnie przerażona. Sophie cisnęła telefon z powrotem do torby, oderwała Elliota od piersi i rzuciła się do Lucy. Zapach powiedział jej wszystko, zanim znalazła się dość blisko, żeby rozpoznać, co wycieka z szortów Lucy. Ta wzorowa użytkowniczka nocnika, wielbiąca papier toaletowy, zagorzała orędowniczka osłon na deski klozetowe i żeli antybakteryjnych, zamarła z przerażenia, a po jej buzi spływały łzy, jej pobrudzone sokiem usteczka skrzywiły się i drżały.

– Nie ma problemu, kochanie – powiedziała Sophie, starając się zapiąć bluzkę jedną ręką. – Nie martw się. Po prostu zjadłaś trochę za dużo truskawek. Chodźmy do toalety się wymyć.

Na szyi czuła rozpaczliwe posapywanie Elliota. A kiedy

włożyła go znów w nosidełko, jego dezorientacja zmieniła się w wybuch złości. Darł się tak, że zagłuszył płacz siostry. Sophie bezskutecznie próbowała wetknąć mu smoczek. Wreszcie dała spokój, zarzuciła torbę z pieluchami na ramię i pociągnęła Lucy w kierunku łazienek.

Damska toaleta była na tyłach sklepu, co wymagało ostrożnego przejścia między regałami pełnymi słoików z marynowanym rabarbarem i przecierem z jabłek. Elliot wył. Lucy szła zgięta wpół i jęczała. A Sophie była pewna, że zaraz zobaczy skrzynkę na opłaty, przybitą do drzwi toalety, ale przynajmniej ta część frajdy była za darmo.

Zabrała Lucy do kabiny dla niepełnosprawnych, po raz pierwszy w życiu nie czując z tego powodu wyrzutów sumienia. Przytrzymała się poręczy i przykucnęła powoli. Kolana jej strzyknęły. Głupio zabierać wózek na przejażdżkę traktorem, ale teraz naprawdę by się przydał, żeby mogła położyć w nim synka. Ostrożnie zdjęła Lucy pobrudzone majtki i skarpetki i posadziła ją na sedesie, starając się trzymać dziewczynkę jak najdalej od rączek i nóżek Elliota. W plecach rwało ją z bólu.

– Złap się tej poręczy.

– Nie chcę niczego dotykać! – zaprotestowała Lucy, wpijając paznokcie w ręce Sophie.

Wrzask Lucy przeraził Elliota. Jego płacz przeszedł w świdrujące piski. I wtedy z dna torby na pieluchy dobiegła, przez krzyki dzieci, pogodna melodyjka telefonu.

Sophie oderwała od siebie paluszki Lucy i położyła je na poręczach po bokach sedesu. Sięgnęła do torby po jedną z plastikowych torebek, które miała pozwijane w środkowej przegródce, i wrzuciła do niej szorty i skarpetki Lucy. Zawiązała torebkę

i zapakowała ją w kolejne dwie, po czym wepchnęła wszystko między zapasowe pieluchy. Ale to nie usunęło smrodu ani też nie uciszyło telefonu. Sophie wyciągnęła paczkę mokrych chusteczek i powycierała, jak mogła, nóżki Lucy, kiedy ta starała się utrzymać równowagę na sedesie.

– Skończyłaś? – spytała, ale Lucy potrząsnęła główką.

Sophie podniosła się i nachyliła niezgrabnie, by pocałować córkę w czoło, po czym poszła wyrzucić brudne chusteczki do śmieci i umyć ręce.

Po kilku kolejnych próbach udało się jej przekonać Elliota do smoczka, dzięki czemu jego wrzaski ustąpiły teraz gniewnym pomrukom i odgłosom nerwowego ssania. Sophie raz jeszcze sprawdziła Lucy, a potem wygrzebała telefon i popatrzyła, kto dzwonił. Steve. Oczywiście. Otworzyła pocztę głosową.

„Sophie, cześć, przepraszam, że tak w ostatniej chwili, mieliśmy problemy z faksem. W każdym razie mam dobrą wiadomość. Złożyli kontrofertę i sądzę, że jest rozsądna. Zadzwoń do mnie jak najszybciej".

Sophie miała wrażenie, że wyrosły jej skrzydła i szybuje nad dudniącą kabiną toalety, ale zaraz spadła na ziemię: zdała sobie sprawę, że „kontroferta" musi oznaczać sumę zdecydowanie przekraczającą ich budżet.

– Gotowa? – spytała córkę.

Lucy pokręciła głową, więc Sophie oparła się o ścianę i oddzwoniła do Steve'a.

– Sądzę, że biorąc pod uwagę okolicę i metraż – powiedział – to dobra cena.

Sophie wyczuwała optymizm w jego głosie i znów dała się ponieść perłowej chmurze euforii, daleko od tego smrodu i bólu,

i czyhających na nią podmiejskich osiedli hrabstwa Chester. Suma nie była zła… To tylko cyfry. Jak się podejdzie na zimno, spokojnie, to można je zaakceptować bez przewracania życia do góry nogami. Da się do nich przywyknąć, dokonać pewnych zmian, zrobić miejsce.

– Powinniście przyjrzeć się nowym możliwościom kredytowym, o których wspominałem, z niską zaliczką – powiedział Steve. – Mam kogoś od tych spraw. Potrafi zdziałać cuda. Skontaktuj się z Brianem i potem zadzwoń do mnie.

Ale Lucy właśnie próbowała zsunąć się z sedesu, więc Sophie postawiła ją na podłodze i dokończyła wycierać jej nogi. Miała w torbie jedne czyste majtki, ale nie szorty, musiała więc przekonać Lucy, że jej koszulka, na szczęście nieco przyduża, jest dość długa i wygląda na sukienkę. Lucy była chyba zbyt wyczerpana, żeby protestować, i nawet zgodziła się założyć tenisówki na gołe stopy, bez skarpetek. W drodze przez sklep Sophie kupiła jej butelkę gatorade, co bardzo pocieszyło Lucy, bo butelka była niebieska z jaskrawą nalepką.

Sophie zabrała dzieci z powrotem na plac zabaw.

– Muszę tylko nakarmić Elliota – powiedziała do córki. – Potem możemy jechać do domu i utniemy sobie dłuższą drzemkę.

Przytrzymała furtkę dwóm ostrzyżonym na jeża chłopcom w wojskowych koszulkach bez rękawów. Przepchali się bezceremonialnie koło niej i zaczęli ganiać między drabinkami, podczas gdy ich matka demonstracyjnie wyjęła z portfela pięć dolarów i wetknęła je do skrzynki, wymownie patrząc Sophie w oczy.

– Ja już płaciłam – wybąkała Sophie, ale zabrzmiało to blado.

Kobieta uniosła kącik ust, wbijając w nią wzrok.

– A co ja się będę… – mruknęła Sophie, pospiesznie ruszając do ostatniej wolnej ławki w cieniu.

Przyłożyła Elliota do piersi i zadzwoniła do Briana, ale natychmiast włączyła się poczta głosowa. Spróbowała raz jeszcze. Znów to samo. Jeden z chłopców podszedł do niej i gapił się, jak karmi. Za nim nadciągnęła jego matka, głośno plaskając klapkami na koturnach po ubitej ziemi. Złapała syna za rękę.

– Nie patrz na to – powiedziała, popychając go w kierunku drabinek i dając mu klapsa.

Sophie ponownie zadzwoniła do Briana, ale znowu bez skutku. Musiał stracić zasięg. I tak wiedziała, jak przebiegnie rozmowa. Będzie chciał się wycofać. Ale on nie widział tego samego domu co ona. Zauważył ślady zalań, starą instalację elektryczną, nieekonomiczne ogrzewanie. A Sophie dostrzegła w tym miejscu ich wspólną przyszłość. W ostatnich miesiącach odwiedziła chyba kilkadziesiąt domów, ale tylko ten obudził w niej jakąś dawno zapomnianą nutę, która teraz dźwięczała jej w głowie dzień i noc.

Przełożyła Elliota, już odprężonego, prawie śpiącego, do drugiej piersi. Miotała się w myślach między radością a poczuciem winy. To, czego tak bardzo pragnie, było tak blisko, na wyciągnięcie ręki, ale wiedziała, że powinna uzbroić się w cierpliwość. Z czasem, jeśli będzie wytrwała, na pewno przekona Briana. Musi tylko znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyjaśnić mu, dlaczego ten właśnie dom jest im tak bardzo potrzebny. Dlaczego sądzi, że ustrzeże ich przed samotnością jej dzieciństwa. Dlaczego wierzy, że tu zapuści korzenie i wreszcie uwolni się od tego dręczącego ją przez całe dotychczasowe życie uczucia, że jest jak

plastikowa torebka na wietrze. Musi uzmysłowić mu, że kupno tego domu to dla niej sposób, aby dać Lucy i Elliotowi dzieciństwo, jakie ją ominęło. Ten dom byłby dla niej namacalnym dowodem, że ona się sprawdza – w tej zwariowanej, zaskakującej i wymagającej stałej improwizacji roli, jaką jest rodzicielstwo. Musiała sprawić, by Brian zrozumiał, że ona pewnego dnia chce spojrzeć na swoje dorosłe dzieci z radością i satysfakcją, a może nawet z dumą, zamiast pogrążać się w gorzkim żalu, który kazałby się jej odwrócić od nich na zawsze. I że ten dom – o dobrze wyważonych proporcjach i solidnej konstrukcji – stał się swego rodzaju kwintesencją tych jej pragnień.

W końcu obmyśli, jak wyjaśnić to wszystko w sensowny sposób. A Brian, wiedziała, popatrzy na nią łagodnie i powie: „Tak, jeżeli to ma cię uszczęśliwić, to zgadzam się, oczywiście, dobrze".

Wydawało się trochę dziwaczne odwlekać sprawę tylko po to, żeby on powoli dojrzał do decyzji, którą ona już podjęła.

Może zrobiła to nie tak jak trzeba, ale w dobrej wierze. Chciała jedynie tego, co najlepsze dla jej rodziny.

Wzięła telefon. Czuła w żyłach koktajl adrenaliny i oksytocyny. Z lekkim podbiciem, jakby rozgniatała malutki bąbelek, uderzyła kciukiem w zielony przycisk. Steve odezwał się już po pierwszym sygnale.

Rozdział drugi

Słońce już wręcz skwierczało od żaru, kiedy Sophie pokonywała siedemdziesiąt dwa kamienne stopnie prowadzące do muzeum. Zostawiała za sobą zieloną szeroką aleję, która biegła do śródmieścia Filadelfii. Przed nią karmelowe kolumny wznosiły się do surowego błękitu nieba, podtrzymując ogromny trójkątny fronton zwieńczony gryfami, które z daleka wyglądały jak przerośnięte gołębie. Na placu przed muzeum było rojno i gwarno od dzieci z kolonii, poubieranych w odróżniające je koszulki. Krzyki odbijały się echem od bocznych skrzydeł.

Za wschodnim wejściem Sophie podała swoje nazwisko strażnikowi, a on zadzwonił do biura Briana, żeby powiadomić go o jej przybyciu. Czekała pod głównymi schodami, popatrując w kierunku galerii z europejską sztuką użytkową. Grupa rozgadanych dzieciaków pędziła na dół, każde miało pod pachą składane krzesełko. Za nimi pojawiła się stąpająca po schodach o wiele ostrożniej Marjorie, wolontariuszka pracująca w dziale Briana. Sophie obserwowała, jak powoli schodzi, i uśmiechnęła się do niej, jakby chciała jej dodać odwagi.

– Przyszłaś trochę za wcześnie – zauważyła Marjorie, kiedy znalazła się wreszcie na dole.

Jej proste siwe włosy były ostrzyżone równiutko na pazia. Miała na sobie pudełkowy żakiet z akrylu, sięgający do bioder, i spódnicę, która kończyła się na linii kolan. Nawet jej solidne, szerokie mokasyny miały wszystko pod odpowiednim kątem. – Brian jest jeszcze na spotkaniu komitetu.

– Och, przepraszam – rzuciła Sophie, kiedy ruszyły na górę. – Mogłam poczekać na niego. Chciałam tylko porozmawiać o niektórych sprawach związanych z ubezpieczeniem. Mówił ci o domu?

Marjorie skinęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Albo brakowało jej tchu, albo tak po prostu, jak to ona. Przystanęła na szczycie schodów, poklepała się po piersi i na chwilę przymknęła oczy, po czym poprowadziła Sophie przez galerie, aż do labiryntu biur i pracowni, kryjących się za zamkniętymi stalowymi drzwiami. Dla Sophie było to niczym wędrówka za kulisy opery. Z przodu wszystko piękne, pełne złoceń i blasku, a z tyłu, wśród bloczków, pomostów i zapadni, ciasnota, stęchlizna i mdłe światło jarzeniówek.

Skręcając w niski korytarz wiodący do gabinetu Briana, Sophie o mało nie wpadła na szereg masywnych wózków ustawionych przy jednej ze ścian. Zrobione z surowego drewna, były całe poobijane i porysowane, co sugerowało częste zderzenia z ciężkimi drzwiami i metalowymi szafkami. Na ich półkach, wyłożonych buroszarym filcem, teraz mocno wyświechtanym, leżała byle jak rzucona zbieranina zaśniedziałych kałamarzy, łyżek, tabakier i solniczek. Sophie miała wrażenie, że te eleganckie srebra są przerażone haniebnym otoczeniem, w jakim się znalazły.